

Tortury i porażka amerykańskiego wywiadu

Administracja Obamy opublikowała serię memorandów stworzonych przez administrację Busha, dotyczących tortur. Memoranda, większość z nich datowana na okres po 9/11, autoryzowały takie metody, jak pozbawianie więźniów wystarczającego pożywienia, trzymanie w skrępowanych i niewygodnych pozycjach, przetrzymywanie w zimnych celach w nieodpowiednim ubraniu, uderzanie w głowę i w brzuch, zastraszanie, że rodziny mogą doznać szkody jeśli nie będą współpracowali z przesłuchującymi.



Te działania żadną miarą nie sięgają jeszcze szczytów ludzkiego okrucieństwa. Jednocześnie, jeżeli komuś wydaje się, że przebywanie w zimnej celi bez jedzenia, doświadczanie lekkiego bicia – i to wszystko wraz z informacją, że twoja rodzina może wkrótce do

ciebie dołączyć – nie jest działaniem zadręczającym, to brakuje mu wyobraźni. Traktowanie przetrzymywanych mogło być gorsze, lecz tak czy inaczej było okropne.

Tortury jednak mają być straszne i należy osądzać torturującego w kontekście jego własnej desperacji. W obliczu 9/11, jeśli ktoś nie był przerażony, nie miał widocznie kontaktu z rzeczywistością. Znamy wielu ludzi zupełnie dziś zubożniałych na sprawę 9/11. Niestety, pamiętamy jednak ich zachowanie zaraz po wrześniu i wiemy, że nie wykazywali się wówczas takim opanowaniem.

11 września był przerażający głównie dlatego, że nie mieliśmy pojęcia o możliwościach Al-Kaidy. Rozsądne było założenie, że

inne komórki Al-Kaidy działają w Stanach Zjednoczonych i że któregoś dnia mogą przeprowadzić następne ataki (zwłaszcza w świetle reputacji tego ugrupowania, znanego z dwóch następujących po sobie ataków). Ciągłe pamiętamy nasz pierwszy lot samolotem po 9/11, gdy przyglądaliśmy się współpasażerom, planując co zrobimy, jeżeli któryś z nich się poruszy. Za każdym razem, kiedy któryś pasażer odwiedzał toaletę, można było zaobserwować wzrost napięcia.

Pomimo że 11 września był już wystarczająco straszny, pojawiły się poważne obawy, że Al-Kaida weszła w posiadanie „bomby walizkowej” i atak nuklearny na duże amerykańskie miasto może nastąpić w każdej chwili. Pamiętamy jak zatrzymaliśmy się w waszyngtońskim hotelu w pobliżu Białego Domu i uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy w strefie zero – wyobrażając sobie jak może wyglądać następna chwila. Dla rządu jednak problemem było posiadanie skrawków informacji mówiących o prawdopodobieństwie posiadania przez Al-Kaidę broni nuklearnej, ale bez możliwości potwierdzenia, czy owe skrawki mają jakąś wartość. Prezydent i wiceprezydent, nie bez powodu i stosownie do sytuacji, przebywali stale w różnych lokalizacjach poza Białym Domem.

Ten brak danych wywiadowczych prowadził bezpośrednio do najbardziej skrajnych obaw, które prowadziły z kolei do ekstremalnych środków. Waszyngton po prostu nie wiedział wiele o Al-Kaidzie i jej zdolnościach oraz intencjach na terytorium Stanów Zjednoczonych. Brak wiedzy zmusza ludzi do myślenia o najgorszym możliwym scenariuszu. Z braku przeciwnych dowodów, po 9/11 jedynym rozsądnym założeniem było, że Al-Kaida planuje więcej – a być może i gorszych – ataków.

Zbieranie danych wywiadowczych stało się wkrótce najwyższym narodowym priorytetem. Wobec autentycznych i uzasadnionych obaw, żadne działanie prowadzące do zdobycia informacji nie było kwestionowane dopóty, dopóki obiecywało szybkie odpowiedzi. To prowadziło między innymi także do zgody na torturowanie podejrzanych. Tortury oferowały szybkie metody zdobywania informacji, lub przynajmniej – biorąc pod uwagę

spóźnione działanie innych metod – były czymś, czego należało spróbować.

Tortury i kwestie moralne

Wywołuje to moralne wątpliwości. Stany Zjednoczone to przecież projekt moralny: tak twierdzi Deklaracja Niepodległości i Konstytucja. Prezydent przysięga zachować i bronić Konstytucję przed wszystkimi wrogami, zagranicznymi i krajowymi. Konstytucja nie mówi nic na temat tortur nie-obywateli, ale sugeruje głęboką niechęć do naruszania praw (przynajmniej w stosunku do obywateli). Jednak Deklaracja Niepodległości zawiera sformułowanie: *należyty szacunek dla opinii ludzkości*. To wskazuje, że opinia światowa się liczy.

Jednocześnie prezydent jest zaprzysiężony, żeby chronić Konstytucję. Praktycznie oznacza to ochronę fizycznego bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych *przeciwko wszystkim wrogom, zagranicznym i krajowym*. Zachowanie zasad Deklaracji i Konstytucji nie ma znaczenia bez zachowania ustroju i obrony narodu.

Wszystko to może stanowić przedmiot interesującego seminarium z filozofii politycznej; prezydenta jednakże – i innych, którzy podjęli to samo zobowiązanie – nie stać na luksus kontemplacyjnego życia. Muszą działać zgodnie z przysięgą, a brak działania też jest działaniem. Poprzedni prezydent USA George W. Bush wiedział, że nie zna zagrożenia i żeby wypełnić swoje zobowiązanie musi bardzo szybko to zagrożenie znaleźć. Nie wiedział, że tortury nie zadziałają, lecz oczywiście nie uważał, żeby miał prawo powstrzymać się od ich stosowania.

Rozważmy taki przykład. Załóżmy, że wiem, że pewien osobnik zna lokalizację nuklearnego sprzętu umiejscowionego w amerykańskim mieście. Urządzenie może zabić setki tysięcy Amerykanów, ale osobnik odmawia ujawnienia informacji. Czy ktokolwiek, kto przysięgł [bronić narodu – przyp. red.] ma prawo nie torturować tej osoby? Tortury mogą zadziałać albo i

nie, ale tak czy inaczej, czy moralnie będzie chronić prawa jednostki i pozwalając tym samym zginąć setkom tysięcy? Wydawać by się mogło, że w tym przypadku tortury są moralnym imperatywem; prawa kogoś posiadającego informacje nie mogą być ważniejsze niż życie całego miasta.

Tortury w rzeczywistym świecie

Jest jednak pewien problem: nie znajdziemy się w takiej sytuacji. Wiedzieć, że bomba została podłożona, wiedzieć, kto wie, że została podłożona i potrzebować tylko tortur do wydobywania z niego informacji – takie sytuacje nie zdarzają się w świecie rzeczywistym. Na temat rozmiarów zagrożenia ze strony Al-Kaidy po 11 września, Stany Zjednoczone wiedziały o wiele mniej. Kwestia takich hipotetycznych tortur w ogóle nie istniała.

Potrzebna była nie abstrakcyjna informacja, lecz sytuacyjna świadomość. Stany Zjednoczone nie wiedziały, co powinny wiedzieć. Nie wiedziały, kto ma jakąś wartość, a kto nie i nie wiedziały, ile mają czasu. Dlatego tortury nie stanowiły precyzyjnego rozwiązania tego konkretnego problemu. Stały się techniką zbierania informacji wywiadowczych. Natura problemu, przed jakim stały Stany Zjednoczone, zmusiła je do bezładnego zbierania informacji. Kiedy nie wiesz tego, co chcesz wiedzieć, zarzucasz szeroką sieć. A jeśli do tych działań dołączy się tortury, one również stosowane będą szeroko. W takiej sytuacji wiesz, że podążysz wieloma fałszywymi tropami – a gdy zastosujesz tortury, będziesz torturował ludzi, którzy niewiele będą mogli ci powiedzieć. Co więcej, tortury zastosowane przez kogokolwiek innego niż dobrze wyszkolony, doświadczony personel (który jest wyjątkowo nieliczny), powiększą tylko skalę problemu i osłabią skuteczność działań.

Obrońcy stosowania tortur często wydają się wierzyć, że skoro już ktoś został uwięziony, to z pewnością posiada wartościowe informacje i te informacje muszą zostać z niego wydobyte. Posiadanie przez niego informacji jest dowodem jego winy.

Problem w tym, że jeżeli od początku nie dysponujesz doskonałym rozpoznaniem, będziesz musiał się zająć zdobyciem podstawowej wiedzy wyjściowej, a torturowana osoba może w ogóle niczego nic nie wiedzieć. Tortury stają się wówczas nie tylko tylko stratą czasu i pogwałceniem przyzwoitości, lecz w rzeczy samej wyrządzają szkodę dobrej pracy wywiadowczej. Po pewnym czasie urządzenie polowań na podejrzanych i próby wyciągnięcia z nich informacji stają się substytutem kompetentnych technik wywiadowczych – i potencjalnie mogą „oślepić” służby wywiadowcze. Jest to prawdą szczególnie wtedy, gdy przesłuchiwane osoby mówią to, co w ich przekonaniu przesłuchujący chciałby usłyszeć – po to, żeby przerwać tortury.

Krytycy tortur, z drugiej strony, wydają się zakładać, że jest to brutalnością w imię samej brutalności, a nie desperacka próba uzyskania jasności co do sytuacji, której skutki mogą się okazać katastrofalne. Krytycy nie mogą również wiedzieć, w jakim stopniu użycie tortur właściwie zapobiegło następnym atakom. Zakładają, że do pewnego stopnia tortury były użyteczne, ale nie były konieczne; że istniały inne drogi zdobycia niezbędnej wiedzy. W dłuższej perspektywie czasowej mogą nawet mieć rację. Jednakże ani oni, ani nikt inny, nie miał prawa zakładać pod koniec 2001 roku, że taka dłuższa perspektywa istniała. Jedną z niewiadomych było wówczas to, ile zostało nam czasu.

Porażka amerykańskiego wywiadu

Niekończący się spór na temat tortur i przybieranie nic nie znaczących póz zarówno przez ich krytyków jak i obrońców, pomijają kwestię zasadniczą. Stany Zjednoczone uciekły się do stosowania tortur, ponieważ doświadczały poważnej porażki wywiadu sięgającej dekadę wstecz. Amerykańskiej społeczności wywiadowczej nie udało się zebrać odpowiednich informacji o zamiarach, możliwościach, organizacji i personelu Al-Kaidy. Użycie tortur nie stanowiło elementu kompetentnych wysiłków

wywiadowczych, lecz było reakcją na tę poważną klęskę wywiadu.

Korzeniem tej klęski jest cały zestaw błędnych założeń przyjętych w tamtych czasach. Istniał publiczny pogląd, że koniec Zimnej Wojny oznacza, iż Stany Zjednoczone nie potrzebują znaczących wysiłków wywiadowczych. Istnieli ludzie w wywiadzie, którzy uważali Afganistan za sprawę przebrzmiałą. Była też poprawka Toricelliego, która zdelegalizowała rekrutowanie, bez specjalnego zezwolenia, ludzi powiązanych z ugrupowaniami terrorystycznymi. Istnieli eksperci od Bliskiego Wschodu, którzy nie rozumieli, że Al-Kaida jest fundamentalnie różna od czegokolwiek, co widzieliśmy wcześniej. Lista winowajców nie ma końca i w sumie są na niej ci spośród Amerykanów, którzy zawsze zdają się wierzyć, że postrzeganie świata jako pełnego niebezpieczeństw to wymysł dostawców broni i biurokratów.

George Bush znalazł się 11 września, po dziewięciu zaledwie miesiącach urzędowania, w sytuacji niemal niemożliwej do opanowania. Kraj wymagał ochrony, a zważywszy na wywiadowcze pobjowisko, które prezydent odziedziczył, zareagował on tak samo dobrze lub tak samo źle jak każdy, kto byłby w jego sytuacji. Użył tych narzędzi, które posiadał, licząc na to, że okażą się skuteczne.

Problem z torturami – jak z każdym wyjątkowym środkiem – polega na tym, że są one użyteczne co najwyżej w sytuacjach wyjątkowych. Problem ze znalezieniem się tego rodzaju technik w rękach biurokracji jest natomiast taki, że to, co wyjątkowe, staje się z czasem rutyną, a tortury jako desperacka, prowizoryczna metoda, stały się rutynowym narzędziem w wyposażeniu agentów prowadzących dochodzenie.

W pewnym momencie stan alarmowy się skończył. Wywiad amerykański zebrał się w sobie, zbudował – z pomocą wywiadu sojusznicznych państw muzułmańskich – bardziej spójny obraz Al-Kaidy i był w stanie zadawać jej straty. Wojna się zrutynizowała, a wyjątkowe metody nie były dłużej konieczne.

Jednak rutynizacja wyjątkowych metod to niebezpieczeństwo wbudowane niejako w działanie biurokracji i to, co na początku było odpowiedzią na niespotykane dotąd zagrożenie, stało się teraz częścią procesu. Bush mógł wykroczyć w swych działaniach poza stan alarmowy, lecz nie zrobił tego.

Jeżeli wiemy o kimś, że jest naładowany informacjami, tortury mogą się okazać użyteczne. Jeżeli jednak dysponujemy już tak dużą wiedzą, że potrafimy identyfikować osoby posiadające konkretne informacje, jesteśmy już całkiem blisko wygrania wywiadowczej wojny. Nie stosujemy wtedy tortur, lecz po prostu mówimy więźniowi: *dla ciebie wojna jest już skończona* – i udowadniamy mu to. Przedstawiamy całą naszą wiedzę na jego temat, pokazujemy, ile o nim wiemy. To podkopuje morale w równym stopniu, co zimna cęła – a przesłuchującym pomaga zachować zdrową równowagę.

Prezydent USA Barack Obama zajął się tą sprawą w stylu, do którego się przyzwyczailiśmy, a który jest rozwiązaniem najpraktyczniejszym z możliwych. Opublikował dokumenty autoryzujące stosowanie tortur, przez co sprawa stała się w całości problemem administracji Busha; jednocześnie jednak odmówił wszczęcia śledztwa przeciwko osobom powiązanim z tym procederem, nie dopuszczając, żeby sprawa doprowadziła do zbyt głębokich podziałów. Być może politycznie jest to zręczne, nie odpowiada jednak na zasadnicze pytanie.

Na zasadnicze pytanie wciąż nie ma odpowiedzi i być może tak już zostanie. Kiedy prezydent ślubuje „zachować, ochraniać i bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych” – gdzie są granice tego zobowiązania? Traktujemy tę przysięgę jako rzecz oczywistą. Lecz każdy, kto włącza się do debaty, powinien dobrze się zastanowić nad jej znaczeniem, zwłaszcza dla prezydentów.

George Friedman – amerykański politolog, absolwent Cornell University. Zajmuje się geopolityką i współczesną doktryną wojenną. Pracował jako doradca w kwestiach bezpieczeństwa dla

czołowych amerykańskich dowódców wojskowych. Autor kilku książek, m.in: The Future of War, The Intelligence Edge, America's Secret War oraz The Next Hundred Years: A Forecast for the 21st Century (2009).

www.stratfor.com

Tłum. Jan Wójcik i PJ